

Sambor Sandauera

Stanisław Gawliński

Stanisław GAWLIŃSKI

Sambor Sandauera

Martin Heidegger zauważył, że dom i okolica, w której się przyszło na świat w istotny sposób wpływają na osobowość jednostki. Rola tych czynników rośnie tym bardziej, im pilniej bada człowiek własny rodowód społeczny i źródła duchowe. Poszukiwanie straconego czasu w wieku dojrzałym owocować może arcydziełami lub mniej czy bardziej skonwencjonalizowaną literaturą autobiograficzną. Bruno Schulz z Drohobycza uwiecznił swoje dramatycznie krótkie życie w *Skleпах cyrnonowych* i *Sanatorium pod klepsydrą*. Nie mniej intensywnie starał się o to jego akolita z odległego o 30 kilometrów Sambora.

Artur Sandauer urodzony w grudniu 1913 roku przywiązywał dużą wagę zarówno do daty, jak i miejsca swoich narodzin. Kilka miesięcy później rzezie pierwszej wojny światowej położyły kres *belle époque*, a rewolucja bolszewicka w Rosji ostatecznie zburzyła porządek starego świata. Trudno o taką jednoznaczność w Sandauerowych opisach *genius loci*. Podobnie zresztą rzecz wygląda w przypadku Brunona Schulza. I nie idzie przy tym o to, jak w języku abstrakcji wyrazić pojęcia tak ulotne, jak „samborskość”, „drohobyckość”, „galicyjskość”? Oddać specyficzną atmosferę i topografię galicyjskiego miasteczka z centralnie usytuowanym Ratuszem w Ryнку. Drohobyckość twórczości Schulza wydaje się Sandauerowi równie oczywista jak samborskość jego młodzieńczych wierszy:

I Sambor, i Drohobycz miały układ podobny do tylu innych *sztetł* [miasteczek]. Elita – żydowski bogacze i polscy urzędnicy – zajmowała centrum, Rynek z przyległościami; żydowska biedota, do której należeliśmy, gnieździła się po rozmaitych Blichach, Targowicach, Floriańskich. Przeciwwstawienie „pięknych dzielnic” i owych siedlisk nędzy, przyszłych gett, było dla nas obu zasadnicze.¹

¹ A. Sandauer *Byłem...*, Warszawa 1991, s. 19.

Przechadzki

Chodzi o głęboką rozbieżność wypowiedzi Schulza i Sandauera na temat rodzinnych miasteczek i roli, jaką odegrały one w ich twórczości. Autor *Sklepów cyrnamonowych* w urzędowym liście 2 lipca 1936 roku prosił kuratora o przeniesienie do Warszawy:

Pobyt na prowincji z dala od ruchu umysłowego pozbawia mnie źródeł podniety oraz środków pomocniczych, jakie daje stolica.

A trzy miesiące potem jeszcze dobitniej uzasadniał konieczność zamieszkania we Lwowie:

Kto utraci kontakt z duchowym życiem epoki przestaje być aktualnym w swojej twórczości, nie wchodzi w rachubę jako artysta...²

Jednako niesentymentalnie brzmią wyznania Artura Sandauera:

Urodzony w biedzie, syn pogardzanego narodu, syn niezaradnego ideowca-samouka, byłbym – gdyby nie stawiane sobie samemu maksymalne wymagania – ugrzązł w Samborze, w tym strasznym Samborze – z wieczornym *Corso* jako życiem towarzyskim, z Anią Dragon przyjmującą gości w miejskim szalecie – jako życiem erotycznym.³

Opisy prowincji galicyjskiej, dokonywane przez jej mieszkańców są uderzająco podobne swoistym kolorytem beznadziei do tego, który sporządził żydowski chłopiec z nieortodoksyjnej rodziny, który w 1913 roku opuścił tętniącą życiem nowoczesnej cywilizacji Pragę, aby pogłębić własną religijność pośród pobożnych mieszkańców miasteczek wschodniej Galicji.

Nędza i brud to ich typowe zewnętrzne oznaki. Biednie ubrani ukraińscy chłopcy i baby, pejsacy Żydzi w podartych chałatach, zgiełk bydła i koni, gęsi i wielkie świnie pasące się spokojnie na rynku.⁴

Rezultatem owej peregrynacji Jiřigo Langer do krain galicyjskiej pierwotności stało się *9 bram do tajemnic Chasydów* wydane w tym samym 1937 roku, co równie znane w świecie *Sanatorium pod klepsydrą* Brunona Schulza. Warto zauważyć, że ta najbardziej zacofana prowincja monarchii austro-węgierskiej dała światu tak bogate osobowości twórcze jak Icchok Perec i Bolesław Leśmian z Zamościa, Joseph Roth z Brodów, Pesach Stark ze Stryja czy Józef Wittlin ze Lwowa.

Bruno Schulz skarżący się na prowincjonalną nudę wytrzymał w światowym Paryżu ledwo trzy tygodnie, natomiast jego młodszy wielbiciel z Sambora, który w 1944 roku wyfrunął w świat, jako autor prozy autobiograficznej nigdy poza to miasto nie wykroczył. Istnieje kilka ważnych powodów takiego stanu rzeczy. Aby

^{2/} Cytuję za W. Bolecki *Najważniejsze informacje o Brunonie Schulzu*, w: *Bruno Schulz. Opowiadania. Eseje. Listy*, wybór, układ, posłowie W. Bolecki, Warszawa 2000, s. 470-471.

^{3/} A. Sandauer *Byłem...*, s. 24-25.

^{4/} J. Langer *9 bram do tajemnic Chasydów*, przeł. z ang. A. Golewska, Kraków 1988, s. 32.

je w pełni przedstawić, należałoby skorzystać z metody psychoanalizy egzystencjalnej, którą z takim upodobaniem posługiwał się Artur Sandauer jako przenikliwy krytyk XX-wiecznej literatury polskiej. Zwłaszcza w studiach o Brunonie Schulzu i Witoldzie Gombrowiczu, które on sam uznał za najcenniejszy fragment własnej działalności krytycznoliterackiej. Nie należy przy tym zapominać, iż pod naciskiem politycznych dysponentów kultury w Polsce Ludowej usiłował godzić w swoich pismach Freuda z Marksem już w 1947 roku. Ślady takiego, nie zawsze fortunnego, aliansu bez najmniejszego trudu odnajdziemy we *Wprowadzeniu do Schulza*, prezentowanym Francuzom na łamach miesięcznika „Preuves” w maju 1960 roku:

Cala jego biografia – dzieciństwo, nad którym zaciążyło bankructwo firmy ojcowskiej, sytuacja Żyda i prowincjonalnego belfra, niepokąźny wygląd wreszcie – wszystko to skłaniało go do przybrania postawy nie tylko znoszącej, ale i akceptującej klęskę. Masochizm? Zapewne. Najodpowiedniejsze jednak określenie byłoby inne: satanizm. Przewrotny idealista, który – przyjmując klasyczną hierarchię wartości – czerpie zarazem przyjemność z jej przekraczania. Schulz żywi sataniczny kult dla kobiety; Ewy-kusicielki, której przyziemna zmysłowość bez przerwy prowokuje uduchowionego mężczyznę.⁵

Ten typ dyskursu krytycznoliterackiego bywa nadzwyczaj ryzykowny. Prowokuje bowiem współczesnego odbiorcę do pytań o rzetelną znajomość faktów rekonstruowanej biografii, a co ważniejsze – wiarygodność sądów formułowanych na podstawie tak śmiałych wypraw w głąb cudzej psychiki. Uprawdopodobnić je mogą bliskie kontakty osobiste, podobieństwo losów indywidualnych i – najtrudniejsza do zweryfikowania – empatia łącząca krytyka z autorem dzieł, które stara się oświetlać z wielu różnych stron. Czyli – według nomenklatury Sandauera – badać wieloaspektowo.

Co łączyło tych dwóch Galicjan pochodzenia żydowskiego? Obaj byli synami prześladowanego narodu, dziećmi podziwianych ojców, którym się z różnych powodów nie powiodło materialnie. Patriarchalny, pobożny kupiec bławatny, Jakub Schulz, zbankrutował, ponieważ nie uznał reguł tandetnej komercjalizacji, natomiast skłócony ze światem ortodoksyjnego żydostwa, lokalny działacz PPS-u z Sambora, Abraham (Adolf) Sandauer, był zbyt mało wykształcony, a nazbyt dumny, żeby nieuczciwymi sposobami robić polityczną i ekonomiczną karierę. Materialne kłopoty rodzin nie udaremniły jednak studiów Brunona Schulza na wydziale architektury Politechniki Lwowskiej ani wyższej edukacji Artura Sandauera, który w 1936 roku ukończył filologię klasyczną na Uniwersytecie Jana Kazimierza w tym samym mieście.

Filolog klasyczny, młodszy o 21 lat od nauczyciela rysunków z Drohobycza, także parał się belferką, odbywając praktykę nauczycielską w Krakowie, gdzie dzięki listowi polecającemu Schulza do wpływowego krytyka, Henryka Webera, nawiązał kontakty ze środowiskiem tamtejszej awangardy plastyków i teatrem „Cricot”.

⁵ Cyt. za: A. Sandauer *Dla każdego coś przykrego*, Kraków 1966, s. 31.

Przechadzki

Dzięki protekcji Brunona Schulza Witold Gombrowicz ułatwił publikację szkicu Artura Sandauera *Szkola mitologii* w prestiżowym tygodniku warszawskim „Pion” (1938 nr 5). Od 1937 roku ambitny poliglota i początkujący krytyk z Sambora co niedziela bywał w domu Schulzów na ulicy Floriańskiej 10 w Drohobyczu. Ulica ta – pisze Sandauer –

przypominała widoki mojej rodzinnej Targowicy: takie same domy powleczone sinką, na przyzbach – kobiety w perukach, taplające się w rynsztokach bachory, Zarwańska, słowem – ulica tyle, że u wylotu znajdowała się kapliczka z Matką Boską.⁶

Intencjonalne analogie topograficzno-demograficzne uwierzytelnić może obiektywna statystyka. Koloryt lokalny Drohobycza i Sambora, wieloetnicznych miast województwa lwowskiego tworzyły mieszaniny narodowe polsko-ukraińsko-żydowskie. O ile w Drohobyczu przeważała ludność pochodzenia polskiego, to w powiecie samborskim, liczącym przed wojną ogółem 105 020 mieszkańców (według *Wielkiej Ilustrowanej Encyklopedii Gutenberga*, t. XV, s. 215) była ona mniejszością, stanowiąc zaledwie 41,4% całej populacji. Nie powinno więc dziwić to upodobnianie najmniejszych ojczyzn dokonywane *ex post*, kiedy ogólnościatowa sława opromieniła nieistniejący kirkut z nieznanym grobem Brunona Schulza. Zamordował go gestapowiec Karl Gunther 19 listopada 1942 roku na skrzyżowaniu ulic rodzinnego Drohobycza. Tym bardziej nie mógłby to być zarzut nieuprawnionego kreślenia żywotów równoległych, ponieważ Artur Sandauer wybitnie się do upowszechniania owej sławy „prowincjonalnego belfra” z Drohobycza przyczynił i nigdy o długu wdzięczności wobec niego nie zapomniał. Przekonuje o tym trwale apologetyczny styl jego odbioru Schulzowskich dzieł, a zwłaszcza świadectwo pierwszej lektury *Sklepów cynamonowych*, które – wyznaje Sandauer –

odchorowałem; do tego stopnia ujawniły mi one moje głębsze „ja”, owo zafascynowanie prowincjonalną martwością, skazujące mnie na bezgraniczne oczekiwanie – czego? Jakiejś akcji, która by ją ożywiła.⁷

Mówiąc żartobliwie, skoro autobiograficzna proza Schulza odstąpiła głębsze „ja” Sandauerowi, to czuł się on zobligowany do równie głębokiej penetracji pokładów osobowości swojego mistrza. Stąd kłopotliwe rewelacje o jego masochizmie czy satanizmie. Wyznania Sandauera traktować jednak muszę na serio, gdyż lektura *Sklepów cynamonowych* i osobiste kontakty z ich autorem rzeczywiście zażyły na twórczości uczonego krytyka i literata z Sambora.

Pisarstwo Schulza wynika z dziejów osobistych i dokładnie ten sam czynnik przesądził o treściach prozy Artura Sandauera. Od *Śmierci liberała* z 1947 roku poprzez *Zapiski z martwego miasta* (1963) aż po *Byłem...* wydane osiemnaście lat później. Jak powszechnie wiadomo, poetykę prozy Brunona Schulza najtrafniej tłumaczy jego własna formuła „mityzacji rzeczywistości” domowej, prowincjonal-

^{6/} A. Sandauer *Byłem...*, s. 33.

^{7/} Tamże, s. 34.

nej i duchowej. Podobną rzeczywistość uczynił przedmiotem swojej sztuki Artur Sandauer, ale on sportretował siebie samego jako realista na tle galicyjskiej prowincji, w środowisku żydowskim, już po Holokauście, który życie genialnego mitografa z Drohobycza tragicznie unicestwił. Stąd zasadnicza różnica postaw autobiograficznych i poetyk. Sandauer tę rzeczywistość Holokaustu przeżytego w Samborze dekonstruuje, ogląda z wielu perspektyw, uruchamia coraz to inne stylistyki, odmiany gatunkowe i warianty intertekstualne. Cel tych zabiegów albo – szerzej – autobiograficznej twórczości Artura Sandauera jest dwojaki. Można go z pewnymi zastrzeżeniami określić jako jednocześnie dawanie świadectwa i poszukiwanie (odnajdywanie) tożsamości etnicznej po kolejnych prześladowaniach przez antysemitów z okresu międzywojennego, czasów okupacji i mniej drastycznych, ale równie przykrych szykan ze strony różnych przedstawicieli władz Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. W wielotekstowej autobiografii Sandauera

pakt referencjalny współwystępuje z paktem autobiograficznym i trudno jeden oddzielić od drugiego, tak jak trudno oddzielić w pierwszej osobie podmiot i przedmiot wypowiedzi.⁸

Dokładnie to zinterpretował najdoskonalszy znawca tego gatunku pisarstwa, Philippe Lejeune. Pakt referencjalny w *Smierci liberała* i *Zapiskach z martwego miasta* (1963) dotyczy tej samej sfery rzeczywistości. Są to narracje o przedwojennej i okupacyjnej prowincji na wschodnich kresach Drugiej Rzeczypospolitej. Ze względów cenzuralnych, bo po 17 września 1939 roku Związek Radziecki dokonał zaboru tych ziem, w *Smierci liberała* nie pojawia się kłopotliwa nazwa własna: Sambor. Zastępuje ją mniej ryzykowny kryptonim „naszego bardzo brudnego miasta”⁹.

Kiedy oficjalnie zakwestionowane zostały ideowo-stylistyczne kanony realizmu socjalistycznego w literaturze, a wraz z tym zelżały rygory cenzury, twórca *Zapisków z martwego miasta* odważył się na więcej, dedykując tę książkę „Iwanowi i Marii Malankiewiczom z Sambora”, czyli ukraińskiej rodzinie, która przez czternaście miesięcy ukrywała go przed hitlerowcami u siebie na strychu aż do sierpnia 1944 roku, kiedy do miasta ponownie wkroczyli zwycięscy sowieci.

Kompozycja tego dzieła przykuwa uwagę swoistym rytmem. Tworzy go sekwencja następujących po sobie autobiografii i parabiografii. Samborskie realia i fakty referuje się tu dwojakim dyskursem: sfikcjonalizowanym i *quasi*-dokumentarnym. Przy czym jeden uzupełnia, a zarazem reinterpretuje drugi i dodatkowo komplikuje relacje osobowe pomiędzy narratorem-bohaterem-Sandauerem. Przykładowo tak:

Urodzony – jak się rzekło – na pograniczu dwu narodowości i klas, na dwuznacznej Targowicy, za sobą miałem siedlisko żydowskiej nędzy i ciemnoty – Blich; przed sobą, na

^{8/} P. Lejeune *Wariacje na temat pewnego paktu. O autobiografii*, Kraków 2001, s. 47.

^{9/} A. Sandauer *Smieć liberała*, w: tegoż *Proza*, Warszawa 1983, s. 7.

Przechadzki

wzgórzu nasz małomiejski Rynek. Do tej dzielnicy kultury i polszczyzny musiałem – najdosłowniej – się wspinać. Przez zapach rynsztoków, przez charkot handelesów, przez zawodzenie żebraków dobiegałem do schodków, na których szczytce przystawałem na chwilę, aby otrząsnąć się ze wszystkiego, co przyłgnęło po drodze, usztynnić się i ucywilizować.¹⁰

Przytoczony powyżej urywek pamiętników fikcyjnego Mieczysława Rosenzweiga rymuje się z fragmentami *Autobiografii*, które w bardziej wiarygodnym gatunku potwierdzają etniczny i społeczny rodowód samego Artura Sandauera:

Miejsce mego urodzenia, Targowica, sąsiadowała z jednej strony przez Młynówkę z głębokim gettem, z drugiej – przez schodki – z Rynkiem, dzielnicą urzędów, szkół i kościołów. Fakt, że Rynek znajdował się na wzgórzu, miał dla mnie – jak dla pożegnanego przed chwilą Mieczysława Rosenzweiga – znaczenie zasadnicze. Zstępując po schodkach do przeciętej na dwoje Młynówką dzielnicy żydowskiej zstępowało się zarazem na dno drabiny socjalnej. Nie od razu jednak! Na lewym brzegu, czyli na Targowicy, domy były jeszcze nie tak odrapane, a język polski rozbrzmiewał na równi z żydowskim. W dni jarmarczne, kiedy plac mrowił się od chłopskich furmanek, dochodził tu trzeci – ukraiński. Parę razy do roku, w dniu odpustów, coś jakby lawina spadało z sąsiednich gór: gazdowie w przerzuconych na spodnie soroczkach targowali chomąta, gaździny grzebały się w perkalach lub załatwiały się, rozkraczone, między wozami [...]. Dla tych Bojków miasteczko nasze było, czym Rzym dla barbarzyńców: przybytkiem wszelkich wspaniałości. W owe dni odpustowe przeprowadzali jakby wstępny rekonesans, po którym miała przyjść kiedys – wielka inwazja.

Przez mostek na Młynówce wchodziło się z Targowicy w samo sedno Czarnego Łądu, w prawobrzeżne getto. Na Blichu, gdzie – wokół synagogi, cmentarza i trupiarni – przykucnęło kilkadziesiąt ruder z oknami na wół zasłoniętymi przez zgnile gonty, mówiło się wyłącznie – czy raczej „szwargotało” – po żydowsku; w piątkowe wieczory zza oświetlonych szyb dolatywały także pieśni hebrajskie. W skwarne popołudnia woń rynsztoków biła pod niebiosa.¹¹

Co uderza w tej poetyce opisu rodzinnego miasta Artura Sandauera? Jest to przestrzeń wyraziście ustrukturowana według kilku porządków hierarchicznych. Najpierw społecznych, z jakby Bachtinowską taksonomią elitarniej „góry” i prymitywnych, fizjologicznie nacechowanych „dołów”. W okolicach Ratusza, na górze, znajdują się siedziby uprzywilejowanych warstw społecznych. Poniżej Targowicy kłębią się tłumy nędzarzy. Nie sposób też pominąć ostro zarysowanych podziałów narodowych i kulturowych. To, co wyższe kulturalnie, bardziej ucywilizowane, łączone jest z polskością. Temu, co żydowskie odebrane zostały wszelkie ponęty. Nawet mowę tej najuboższej dzielnicy miasta słyszy autor jako szwargot. Mieczysław Rosenzweig nazywał ją, nie mniej dyskredytująco, charkotem handelesów.

^{10/} A. Sandauer *Urywki z Pamiętników Mieczysława Rosenzweiga (Parabiografia)*, tamże, s. 141.

^{11/} A. Sandauer *Kanały (Autobiografia)*, tamże, s. 180.

Twórca *Zapisków z martwego miasta* nadał sensy uniwersalne konkretnym dzielnicom prowincjonalnego Sambora w taki sposób, że odsyłają one interpretatora w obszary krytyki tematycznej np. G. Bachelarda, G. Pouleta albo J.P. Richarda, którzy koncentrowali uwagę na wyobraźni pisarzy odzwierciedlonej w dziele, na ich micie osobistym. R y n e k funkcjonuje w analizowanym tutaj dziele Sandauera jako symbol grecko-łacińskiej kultury, która fascynowała go najpierw w gimnazjum, potem na studiach filologii klasycznej i w długim życiu tłumacza pism: Teokryta, Ajschylosa, Arystofanesa, Sofoklesa i Eurypidesa. Malownicze N a d d n i e s t r z e skojarzył natomiast „z jakąś Leśmianowską słowiańszczyzną, z pokusą zmysłową i z grzechem” (s. 181).

Gdyby wspomnianą przedtem psychoanalizę egzystencjalną zaaplikować pacjentowi z całą bezwzględnością, może odstonilibyśmy bardziej sekretne powody sprzeczności opinii niepospolitego „prowincjusza galicyjskiego” – bo tak zwykł mawiać o sobie Artur Sandauer – nie tylko na temat miasta, w którym przeżył trzydzieści jeden lat, które uformowało jego osobowość tak głęboko, że nie wahał się pisać o sobie „samboro-ja” (*Byłem...*, s. 21) i równocześnie wielbić opatrności za to, że „nie ugrzązł w Samborze, w tym strasznym Samborze” (s. 25). Ale w prawdziwym labiryncie sprzecznych rozpoznań znajdziemy się dopiero wówczas, kiedy spróbujemy zgłębiać meandry Sandauerowych myśli na temat jego identyfikacji etnicznej.

W *Smierci liberała* polskość fascynuje i odstręcza, *Pamiętniki Mieczysława Rosenzweiga* kompromitują ideę asymilacji jako niemożliwą. *Zapiski z martwego miasta* są symboliczną przeprowadzką Żyda z Targowicy do Polski w Rynku, *O sytuacji pisarza polskiego pochodzenia żydowskiego w XX wieku...* z 1982 roku informuje nas przewrotnie: „Asymilacja okazała się niemożliwa; za to możliwa się okazała – analiza jej niemożliwości. (s. 97)

Ale w pośmiertnie wydanym *Byłem...*, które wieńczy tę sekwencję dyskursów autobiograficznych, orzekł, że wszystkie one „ukazują stopniową przemianę Żyda w Polaka, człowieka – w pisarza” (s. 6).

Zaiste był Artur Sandauer i pozostanie już na zawsze oryginalną jednością w wielości kontradiktoryjnych postaw, poglądów i dokonań.